

Skały, drzewa, woda, śnieg. Te rzeczy, w nieustannie zmieniającej się konfiguracji, tworzyły pół roku temu sceneryę za oknem pociągu, pewnego ranka między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Skały były duże, czasem sterczące, czasem wygładzone, ciemnoszare albo całkiem czarne. Drzewa przeważnie wiecznie zielone, sosny, świerki albo cedry. Świerki – czarne świerki – miały coś, co wyglądało jak dodatkowe małe drzewka, ich własne miniatury na czubkach. Inne drzewa, te, które straciły liście, były patykowate i nagie – to mogły być topole albo amerykańskie modrzewie, albo olchy. Niektóre miały plamistą korę. Śnieg zalegał w grubych czapach na szczytach skał i przylepiał się do nawietrznej strony drzew. Przykrywał miękką gładką warstwą powierzchnię wielu dużych i małych zamarzniętych jezior. Woda nie zamarzała jedynie w nielicznych wartkach, ciemnych i wąskich strumieniach.

Juliet trzymała na kolanach otwartą książkę, ale nie czytała. Nie odrywała oczu od tego, co działo się wokół. Siedziała sama na podwójnym siedzeniu, naprzeciwko pustego podwójnego siedzenia. W nocy w tym miejscu rozłożone było jej posłanie. Konduktor w wagonie sypialnym zajmował się teraz składaniem łóżek. Gdzieś tam ciemnozielone, zamykane na suwak zasłony nadal zwisały do ziemi. W powietrzu unosił się zapach tego materiału, podobnego do tkaniny namiotowej, i może lekka woń nocnej bielizny i toalet. Za każdym razem kiedy ktoś otwierał drzwi z któregoś końca wagonu, wpadał poddmuch świeżego zimowego powietrza. Ostatni pasażerowie szli na śniadanie, pierwsi już wracali.

Na śniegu widać było ślady, ślady małych zwierząt. Sznurowe koralików, pozakręcane, znikające.

Juliet miała dwadzieścia jeden lat i tytuł licencjata oraz magistra nauk humanistycznych. Z filologii klasycznej. Pracowała nad doktoratem, ale przerwała pracę, aby uczyć łaciny w prywatnej szkole dla dziewcząt w Vancouver. Nie miała przygotowania pedagogicznego, lecz nagły brak nauczyciela w połowie semestru sprawił, że szkoła ją zatrudniła. Przepuszczalnie nikt inny nie odpowiedział na ogłoszenie. Pensja była niższa niż ta, którą otrzymałby wykwalifikowany nauczyciel, Juliet jednak z radością przyjęła jakiegokolwiek zarobek po latach życia ze skromnego stypendium.

Była wysoką dziewczyną o jasnej cerze i drobnych kościach, z jasnobrązowymi włosami, które nawet spryskane lakierem nie utrzymywały natapirowanej fryzury. Wyglądała jak pilna uczennica. Wysoko uniesiona głowa, ładna, okrągła broda, szerokie usta o cienkich wargach, zadarty nos, jasne spojrzenie i czoło często poczerwieniałe z wysiłku lub wdzięczności za docenienie. Jej profesorowie byli nią zachwyceni – zadowoleni, że w dzisiejszych czasach ktoś chce studiować języki starożytne, zwłaszcza ktoś tak uzdolniony – choć jednocześnie się martwili. Problem polegał na tym, że była dziewczyną. Gdyby wyszła za mąż, co mogło się zdarzyć, była bowiem niebrydka jak na stypendystkę, całkiem niebrydka, cała jej praca i ich wysiłki poszłyby na marne, gdyby zaś nie wyszła za mąż, przypuszczalnie popadłaby w przygnębienie i osamotnienie, nie mając szans na awans w konkurencji z mężczyznami (którzy potrzebowali go bardziej ze względu na

rodziny na utrzymaniu). I nie potrafiłaby bronić swego wyboru filologii klasycznej, akceptować tego, że ludzie uważaliby go za nieważny lub nudny, zignorować tego tak, jak zrobiłby to mężczyzna. Dziwne wybory były łatwiejsze dla mężczyzn, których większość i tak znalazłaby sobie żony. W drugą stronę to nie działało.

Kiedy ukazała się oferta pracy w szkole, profesorowie namawiali Juliet, aby ją przyjęła. Bardzo dobrze! Trzeba trochę wyjść na świat. Poznać prawdziwe życie.

Juliet była przyzwyczajona do takich rad, choć rozczarowana tym, że słyszy je od tych ludzi, którzy raczej nie sprawiali wrażenia, że sami chętnie poznają prawdziwy świat. W miejscowości, w której się wychowała, jej rodzaj inteligencji był często zaliczany do tej samej kategorii co utykanie czy dodatkowy palec, a ludzie nader skwapliwie wyliczali jej wady – nie umiała szyć na maszynie, zrobić zgrabnej paczki czy w odpowiednim momencie zauważyć, że wystaje jej halka. Nie wiadomo było, co z niej wyrośnie.

Tym martwili się nawet rodzice Juliet, którzy poza tym byli z niej dumni. Matka chciała, aby córka cieszyła się powodzeniem, i w tym celu namawiała ją do nauki jazdy na łyżwach i gry na pianinie. Juliet nie lubiła i nie umiała dobrze ani jednego, ani drugiego. Ojcu zależało, aby się nie wyróżniała. Nie możesz się wyróżniać, powtarzał, bo ludzie zrobią ci piekło na ziemi. (Ignorował fakt, że i on, i tym bardziej matka Juliet nie bardzo pasowali do otoczenia, a przecież nie byli nieszczęśliwi. Może wątpił, że Juliet będzie miała tyle szczęścia).

Wcale się nie wyróżniam, stwierdziła Juliet, kiedy wyjechała na studia. Pasuję do wydziału filologii klasycznej. Wszystko jest w absolutnym porządku.

Jednak to samo doradzali jej profesorowie, którzy ją cenili i lubili. Ich jowialność nie była w stanie zamaskować troski. Idź w świat, mówili. Jakby do tej pory przebywała w nicości.

Ale w pociągu była szczęśliwa.

„Tajga”, pomyślała. Nie wiedziała, czy to odpowiednie słowo dla tego, co widzi za oknem. Na jakimś poziomie świadomości utożsamiała się z młodą bohaterką rosyjskiej powieści, która jedzie w nieznaną, przerażającą i emocjonującą okolice, gdzie nocami wyją wilki i gdzie spotka swe przeznaczenie. Nie przeszkadzało jej to, że przeznaczenie – w rosyjskiej powieści – okaże się prawdopodobnie nudne lub tragiczne, albo jedno i drugie.

Zresztą nie chodziło o osobiste przeznaczenie. Pociągały ją, nawet zachwycały obojętność, powtarzalność, beztroska i pogarda dla harmonii, widoczne na skomplikowanej powierzchni prekambryjskiej skorupy.

Kątem oka zauważyła jakiś cień. Potem nogę w spodniach wchodzącą do przedziału.

– Czy to miejsce jest wolne?

Przecież było. Co miała powiedzieć?

Pantofle z frędzlami, beżowe spodnie, marynarka w brązowo-beżową kratkę z cienkimi rdzawoczerwonymi kreskami, ciemnoniebieska koszula, rdzawoczerwony krawat z niebieskimi i złotymi punkcikami. Wszystko zupełnie nowe i wszystko – oprócz butów – jakby lekko za duże, jakby od chwili zakupów ciało trochę się skurczyło.

Mężczyzna miał może trochę po pięćdziesiątce, pasma jasnych złotobrzązowych włosów przylegały płasko do jego głowy. (Chyba nie były farbowane, kto by farbował takie marne kosmyki?). Brwi – ciemniejsze, rudawe, nastroszone i krzaczaście. Skóra na twarzy – dość guzowata, gruba jak powierzchnia zsiadłego mleka.

Czy był brzydki? Oczywiście, że tak. Był brzydki, ale zdaniem Juliet mężczyźni w jego wieku bardzo często są brzydki. Później, z perspektywy czasu, nie powiedziałaaby, że był szczególnie brzydki.

Unióś brwi i szeroko otworzył jasne, wilgotne oczy, jakby chciał okazać jej serdeczność. Usiadł naprzeciwko.

– Nie za wiele do oglądania – powiedział.

– Nie. – Opuściła oczy na książkę.

– Ach – westchnął, jakby sprawy przybierały obiecujący obrót. – Dokąd pani jedzie?

– Do Vancouver.

– Ja też. Przez cały kraj. Równie dobrze można przy okazji zobaczyć kawałek świata, prawda?

– Mhm.

Mężczyzna nie dał się zniechęcić.

– Czy pani też wsiadła w Toronto?

– Tak.

– To moje rodzinne miasto. Mieszkam tam od urodzenia. Pani też?

– Nie – powiedziała Juliet, znowu spoglądając na książkę i starając się jak najbardziej wydłużyć pauzę. Jednakże coś – jej wychowanie, zażenowanie, Bóg wie co, może współczucie,

okazało się za silne i rzuciła mu nazwę rodzinnej miejscowości, a potem określiła jej położenie, podając odległość od różnych większych miast i usytuowanie względem jeziora Huron i zatoki Georgian.

– Mam kuzynkę w Collingwood. To ładna okolica. Parę razy odwiedziłem ją i jej rodzinę. Sama pani podróżuje? Tak jak ja?

Przez cały czas zacierał dłonie.

– Tak. – Już nie, myśli. Już nie.

– Pierwszy raz wybrałem się na dłuższą wyprawę. Niezła wycieczka, w dodatku w pojedynkę.

Juliet nic nie powiedziała.

– Zobaczyłem, że czyta pani książkę, całkiem sama, i pomyślałem: może jest sama i też jedzie daleko, i moglibyśmy się jakoś zakolegować?

Na to słowo, „zakolegować”, Juliet poczuła zimny dreszcz niepokoju. Zrozumiała, że ten człowiek nie chce jej podrywać. Czasami przydarzało jej się, że niezdarni, samotni i nieatrakcyjni mężczyźni składali jej bezpośrednie propozycje, zakładając, że jadą na tym samym wózku. Ale ten mężczyzna tak się nie zachowywał. Szukał towarzysza podróży, a nie dziewczyny. Szukał kolegi.

Juliet wiedziała, że wielu ludziom wydawała się dziwna i samotna, i w pewnym sensie taka była. Jednocześnie przez większość życia otaczali ją ludzie, którzy chcieli wykorzystać jej energię, jej czas, jej duszę. I na ogół im na to pozwalała.

Bądź dla wszystkich dostępna, bądź przyjacielska (zwłaszcza jeśli nie jesteś lubiana) – tego się uczysz w małym mieście i w internacie dla dziewcząt. Pozwalaj, aby każdy mógł cię

wykorzystać, nawet jeżeli nie ma pojęcia, kim naprawdę jesteś.

Spojrzała wprost na tego mężczyznę, bez uśmiechu. Zobaczyła jej determinację i po jego twarzy przemknął wyraz przestrochu.

– To dobra książka? O czym? – spytał.

Nie zamierzała mu mówić, że czyta o starożytnej Grecji, o upodobaniach Greków do rzeczy irracjonalnych. Nie miała uczyć greki, lecz prowadzić zajęcia pod tytułem *Mysł grecka*, jeszcze raz zatem wróciła do Doddsa, aby znaleźć coś przydatnego.

– Naprawdę chciałabym poczytać. Przejdę do wagonu panoramicznego – powiedziała.

Wstała i wyszła, myśląc, że nie powinna była mówić, dokąd idzie, gdyż mężczyzna mógł pójść za nią, przepraszając i szukając jakiegoś innego pretekstu do bliższej znajomości. Poza tym w wagonie panoramicznym na pewno będzie zimno i przydałby jej się sweter. Ale teraz już nie mogła się po niego wrócić.

Panoramiczny widok, jaki roztaczał się przed nią z ostatniego wagonu, wydawał jej się mniej atrakcyjny niż widok z okna wagonu sypialnego. Teraz w polu widzenia stale znajdowała się przednia część pociągu.

Być może problemem było to, że – tak jak przewidywała – zrobiło jej się zimno. Czuła się zaniepokojona, ale nie było jej przykro. Jeszcze chwila i ofiarowałby jej swoją spoconą rękę – albo spoconą, albo suchą i łuszczącą się – nastąpiłaby wymiana nazwisk i Juliet zostałaby uwięziona. Odniosła pierwsze

w życiu zwycięstwo tego rodzaju nad najbardziej godnym współczucia, najbardziej żalonym przeciwnikiem. Słyszała go w wyobraźni, międlącego słowo „zakolegować”. Przepraszany i bezczelność. Przepraszanie miało w zwyczaju. A bezczelność wynikała z nadziei czy determinacji przebijającej się przez powierzchnię jego samotności, jego głodu towarzystwa.

Zrobiła to, co było konieczne, chociaż niełatwe, wcale niełatwe. W gruncie rzeczy zwycięstwo nad kimś w takim stanie bardziej się liczyło. Bardziej niż nad kimś sprytnym i pewnym siebie. Tym niemniej przez jakiś czas Juliet nie będzie z siebie zadowolona.

W panoramicznym wagonie siedziały tylko dwie osoby. Dwie starsze kobiety, każda oddzielnie. Kiedy Juliet zobaczyła dużego wilka, który szedł po ośnieżonej, idealnie gładkiej powierzchni niewielkiego jeziora, była pewna, że i one muszą go widzieć. Ale żadna z nich nie przerwała ciszy, i to jej sprawiło przyjemność. Wilk nie zwrócił uwagi na pociąg, nie zawahał się ani nie przyspieszył. Miało długie, srebrzyste futro, przechodzące w biel. Czy myślał, że jest dzięki temu niewidoczny?

Gdy przyglądała się wilkowi, wszedł kolejny pasażer. Mężczyzna, który usiadł po drugiej stronie przejścia. On także miał ze sobą książkę. Po nim weszła starsza para – kobieta drobna i dziarska, mężczyzna duży i niezgrabny, pogardliwie i głośno prychnący.

– Zimno tu – powiedziała, kiedy usiedli.

– Chcesz, żebym ci przyniosła marynarkę?

– Nie zwracaj sobie głowy.

– To żaden kłopot.

– Nic mi nie będzie.

Po chwili kobieta powiedziała:

– Tu jest naprawdę niezły widok. – Mężczyzna nie odezwał się, a ona spróbowała jeszcze raz: – Widać wszystko dookoła.

– Nie ma nic specjalnego do oglądania.

– Poczekaj, aż wjedziemy w góry. To będzie coś. Smakowało ci śniadanie?

– Jajecznica była za rzadka.

– Wiem – przyznała kobieta. – Pomyślałam, że powinnam po prostu wparować do kuchni i sama ją zrobić.

– Kambuz. To się nazywa kambuz.

– Myślałam, że tylko na statku.

Juliet i mężczyzna naprzeciwko w tej samej chwili podnieśli oczy znad książki i spojrzeli na siebie, starannie powstrzymując się od okazywania czegokolwiek. W tym samym momencie pociąg zwolnił i zaraz stanął, oni zaś odwrócili wzrok.

Dojechali do niewielkiej osady w lesie. Po jednej stronie torów znajdował się budynek stacyjny pomalowany na ciemnoczerwony kolor, po drugiej – parę domów w tym samym kolorze. Domki czy baraki dla pracowników kolejowych. Ogłoszono, że pociąg postoi dziesięć minut.

Peron był oczyszczony ze śniegu i Juliet, patrząc przed siebie, zobaczyła, że niektórzy pasażerowie wysiadają, aby rozprostować nogi. Sama chętnie by to zrobiła, ale nie bez płaszcza.

Mężczyzna z naprzeciwka wstał i zszedł po stopniach, nie rozglądając się wokół. Gdzieś na dole otwarły się drzwi, wpuszczając dyskretny powiew zimnego powietrza. Mąż spytał żonę, co się dzieje i jak się nazywa to miejsce. Żona poszła

na przód wagonu, ale nie udało jej się przeczytać nazwy przystanku.

Juliet czytała o menadyzmie. Dodds podawał, że rytuały odbywały się w nocy w środku zimy. Kobiety chodziły na szczyt góry Parnas, a kiedy pewnego razu zostały odcięte od świata przez burzę śnieżną, wysłano ekspedycję ratunkową. Niedoszłe menady sprowadzono na dół w sztywnych od zimna ubraniach. Pomimo szafu nie odmówiły przyjęcia pomocy. Juliet wydało się to zachowaniem dość współczesnym i stawiało uczestniczki obrzędu w nowoczesnym świetle. Czy uczniowie też tak to ocenią? Raczej nie. Zapewne okażą się odporni na wszelkie próby wciągnięcia ich w zabawę, zaangażowania. A ci mniej odporni nie będą chcieli tego po sobie pokazać.

Pasażerów wezwano do powrotu do pociągu, ustał dopływ świeżego powietrza, zastukały wagony. Juliet podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą znikający za zakrętem parowóz.

A potem wstrząs czy szarpnięcie przetaczające się przez cały pociąg. Wrażenie, jakby wagon się zakołysał. Gwałtowne hamowanie.

Wszyscy czekali, aż pociąg znowu ruszy, i nikt się nie odzywał. Nawet marudny mąż milczał. Mijały minuty. Słysząc było otwieranie i zamykanie drzwi. Jakieś męskie głosy, rosnące uczucie lęku i niepokoju. Poniżej, w wagonie pierwszej klasy, ktoś, może konduktor, mówił coś stanowczym głosem, ale nie dało się odróżnić słów.

Juliet wstała i przeszła na przód wagonu, skąd widziała dachy wszystkich pozostałych wagonów. Po śniegu biegli jacyś ludzie.

Jedna z samotnych kobiet podeszła i stanęła obok Juliet.

– Przeczuwałam, że się coś stanie – powiedziała. – Czułam to, kiedy pociąg się zatrzymał. Nie chciałam, żeby znów ruszył, wiedziałam, że coś się stanie.

Druga samotna kobieta podeszła i stanęła za nimi.

– To pewnie nic takiego – stwierdziła. – Może gałąź na torach.

– Przed pociągiem jedzie bufor specjalnie po to, aby wyłapywać takie rzeczy jak gałęzie na torach – powiedziała pierwsza kobieta.

– Może dopiero co spadła.

Obie kobiety mówiły z takim samym północnoangielskim akcentem, bez uprzejmości typowej dla obcych lub znajomych. Teraz, gdy Juliet dobrze im się przyjrzała, zobaczyła, że przypuszczalnie są siostrami, choć jedna miała młodszą i bardziej okrągłą twarz. A zatem podróżowały razem, ale siedziały osobno. Albo się pokłóciły.

Konduktor wchodził po schodach do wagonu panoramicznego. W połowie drogi odwrócił się i powiedział:

– Nic poważnego, proszę państwa. Wygląda na to, że uderzyliśmy w jakąś przeszkodę na torach. Przepraszamy za opóźnienie. Ruszymy, jak się tylko da, ale to może chwilę potrwać. Steward mówi, że za parę minut będzie wydawał w bufecie darmową kawę.

Juliet zeszła na dół za konduktorem. Kiedy wstała, zdała sobie sprawę, że ma własny problem i musi wrócić na swoje miejsce, do swojej walizki, bez względu na to, czy mężczyzna, którego zlekceważyła, wciąż tam jest. Idąc przez wagony, spo-

tykała innych pasażerów. Ludzie przyciskali twarze do okien po jednej stronie pociągu albo stali między wagonami, jakby czekali na otwarcie drzwi. Juliet nie miała czasu na pytania, ale idąc, słyszała, że mógł to być niedźwiedź albo łoś, albo krowa. Pasażerowie zastanawiali się, skąd by się tutaj wzięła krowa, czy niedźwiedzie nie śpią teraz snem zimowym lub czy to jakiś pijak nie usnął na szynach.

W wagonie restauracyjnym ludzie siedzieli przy stolikach, z których zdjęto białe obrusy, i pili darmową kawę.

Nikt nie zajął miejsca Juliet, ani nie siedział naprzeciwko. Wzięła torbę i pospiesznie ruszyła do damskiej toalety. Mieścił się krwawienie było zmartwieniem jej życia. Pewnego razu zakłóciło jej nawet ważny, trzygodzinny egzamin pisemny, podczas którego nie wolno było opuszczać sali.

Zarumieniona, obolała, trochę oszołomiona i bliska wymiotów usiadła na sedesie, usunęła przesiąkniętą podpaskę, owinęła ją w papier toaletowy i umieściła w przeznaczonym na to pojemniku. Kiedy wstała, założyła nową podpaskę, którą wyjęła z torby. Zauważyła, że woda i mocz w muszli klozetowej są czerwone od krwi. Dotknęła przycisku do spuszczenia wody i spostrzegła przed oczyma napis, aby nie spuszczać wody podczas postoju pociągu. Oznaczało to oczywiście postój na stacji, kiedy woda wypłukałaby zawartość muszli tam, gdzie byłaby widoczna dla innych. Tutaj mogła sobie na to pozwolić.

Kiedy jednak znowu dotknęła przycisku, usłyszała gdzieś blisko ludzkie głosy, nie w pociągu, lecz za szybą z tłoczonego szkła. Pewnie przechodzili robotnicy kolejowi.

Mogła zostać w ubikacji do odjazdu pociągu, ale nie wiadomo było, kiedy on nastąpi. A gdyby ktoś koniecznie musiał skorzystać z toalety? Uznała, że jedyne, co może zrobić, to zamknąć klapę i wyjść.

Wróciła na swoje miejsce. Naprzeciwko cztero- czy pięcioletnie dziecko rozcinało kredką kartki książeczki do malowania.

– Kawa może i jest za darmo, ale wygląda na to, że trzeba samemu po nią pójść – powiedziała matka dziecka do Juliet. – Popilnuje go pani, jak pójde?

– Nie chcę z nią zostać – powiedziało dziecko, nie podnosząc oczu.

– Ja pójde – zaproponowała Juliet. W tej chwili wszedł kelner z wózkiem z kawą.

– Proszę, za wcześniej zaczęłam narzekać – powiedziała matka. – Słyszała pani, że to był c z ł o w i e k ?

Juliet pokręciła głową.

– Nawet nie miał na sobie płaszcz. Ktoś widział, jak wysiada z pociągu i idzie przed siebie, ale nikt nie zdawał sobie sprawy, co zamierza. Wszedł na tory zaraz za zakrętem, więc kiedy maszynista go zobaczył, już było za późno.

Parę miejsc dalej, po stronie matki, odezwał się jakiś mężczyzna:

– Wracają.

Część pasażerów siedzących po stronie Juliet wstała i pochyliła się do okna. Chłopiec też wstał i przycisnął twarz do szyby. Matka kazała mu usiąść.

– Maluj. Zobacz, jak brzydko wyszedłeś za linie.

– Nie mogę patrzeć – powiedziała do Juliet. – Nie mogę niczego takiego oglądać.

Juliet wstała i wyjrzała przez okno. Zobaczyła grupkę mężczyzn wracających na stację. Niektórzy zdjęli płaszcze, rzucono je na nosze, które dwaj z nich nieśli.

– Nic nie widać – powiedział mężczyzna zza pleców Juliet do kobiety, która nie podniosła się z miejsca. – Jest cały przykryty.

Nie wszyscy mężczyźni, którzy szli z pochylonymi głowami, byli pracownikami kolei. Juliet rozpoznała człowieka, który siedział naprzeciwko niej w wagonie panoramicznym.

Po dziesięciu czy piętnastu minutach pociąg ruszył. Za zakrętem z żadnej strony nie było widać krwi. Ale teren był zadeptany, śnieg odgarnięty. Mężczyzna za Juliet znów wstał.

– To chyba tutaj – powiedział, i rozglądał się przez chwilę, a potem odwrócił się i usiadł.

Pociąg, zamiast przyspieszyć, żeby nadrobić stracony czas, jechał jeszcze wolniej niż przedtem. Może dla okazania szacunku, a może z obawy, co może napotkać przed sobą, za następnym zakrętem. Kelner przeszedł przez wagon, ogłaszając pierwszą turę obiadu. Matka z dzieckiem od razu za nim poszła. Ruszyła procesja pasażerów, i Juliet słyszała, jak jakaś kobieta powiedziała:

– Naprawdę?

Jej towarzyszka dodała cicho:

– Tak mówiła. Pełna krwi. Musiała tam wlecieć, kiedy pociąg przejechał...

– Nie mów.

Trochę później, kiedy procesja się skończyła i pierwsza tura zasiadła do obiadu, korytarzem przeszedł mężczyzna, ten

z wagonu panoramicznego, który potem na dworze towarzyszył noszom.

Juliet wstała i szybko poszła za nim. W czarnej, zimnej przestrzeni między wagonami, kiedy pchnięciem otwierał przed sobą ciężkie drzwi, powiedziała:

– Przepraszam, muszę pana o coś zapytać.

Przestrzeń wypełnia gwałtowny hałas, stukot ciężkich kół po szynach.

– O co chodzi?

– Czy jest pan lekarzem? Widział pan tego człowieka, który...

– Nie jestem lekarzem. W pociągu nie ma lekarza. Ale trochę się znam na medycynie.

– Ile miał lat?

Mężczyzna spojrzał na nią cierpliwie, ale z niezadowoleniem.

– Trudno powiedzieć. Nie był młody.

– Czy miał niebieską koszulę? I jasnobrązowe włosy?

Mężczyzna pokręcił głową, nie w odpowiedzi na jej pytanie, lecz odmawiając jej.

– Znała go pani? – spytał. – Jeśli tak, trzeba było powiedzieć konduktorowi.

– Nie znałam.

– To przepraszam. – Popchnął drzwi i odszedł.

Oczywiście. Myślał, że pyta z obrzydliwej ciekawości, jak wielu innych ludzi.

„Pełna krwi”. To dopiero jest obrzydliwe.

W życiu nie mogłaby nikomu opowiedzieć o tej pomyłce, tym okropnym żarcie. Ludzie uznaliby ją za osobę wyjątkowo

prymitywną i bez serca, gdyby kiedykolwiek o tym wspomniała. A to, co było z jednej strony tego nieporozumienia – przejechane ciało samobójcy – wypadłoby w tej historii niewiele bardziej przerażająco i wstrętnie niż jej własna krew miesięczkowa.

Nigdy nikomu nie mówić. (Chociaż w końcu opowiedziała, kilka lat później, kobiecie imieniem Christa, kobiecie, której imienia nawet jeszcze nie znała).

Jednakże bardzo chciała coś komuś powiedzieć. Wyjęła notes i na jednej z poliniowanych stron zaczęła pisać list do rodziców.

Jeszcze nie dojechaliśmy do granicy Manitoby i większość ludzi narzeka na monotonne widoki, ale nie mogą twierdzić, że w podróży zabrakło dramatycznych wydarzeń. Dziś rano zatrzymaliśmy się w jakiejś zapadłej dziurze w północnych lasach, gdzie wszystko pomalowano na Okropną Kolejową Czerwień. Siedziałam z tyłu pociągu w wagonie widokowym, strasznie marznąc, bo na górze oszczędzają na ogrzewaniu (chyba myślą, że piękne krajobrazy odwracają uwagę od zimna), a nie chciało mi się wracać po sweter. Pociąg stał jakieś dziesięć czy piętnaście minut, a potem znów ruszył i widziałam, jak parowóz wjeżdża za zakręt, i nagle był taki Straszny Łomot...

Juliet i jej rodzice zawsze starali się przynosić do domu interesujące historie. Wymagało to subtelnej korekty nie tylko faktów, lecz także swojej pozycji w świecie. Przynajmniej do tego

wniosku doszła Juliet, kiedy jej światem była szkoła. Uczyniła z siebie zdystansowaną, niepodatną na wzruszenia obserwatorkę. A teraz, gdy była cały czas poza domem, taka pozycja stała się już zwyczajowa, niemal obowiązkowa.

Kiedy jednak napisała słowa „Straszny Łomot”, poczuła, że nie jest w stanie dalej pisać. Nie jest w stanie pisać takim językiem jak zwykle.

Spróbowała wyglądać przez okno, ale sceneria, złożona z tych samych elementów, teraz się zmieniła. Zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów dalej panował cieplejszy klimat. Jeziora nie zamarły, tylko przy brzegach otaczał je lód. Czarna woda, czarne skały pod zimowymi chmurami wypełniały powietrze ciemnością. Juliet zmęczona oglądaniem krajobrazu sięgnęła po Doddsa i otworzyła na chybił trafił, bo przecież w końcu знаła książkę. Co parę stron musiała mieć jakieś napady podkreślania. Zaznaczone fragmenty przyciągały jej uwagę, ale kiedy je ponownie czytała, okazywało się, że to, co kiedyś dawało jej tyle satysfakcji, teraz wydawało się niejasne i niepokojące.

...to, co z niedoskonałego ludzkiego punktu widzenia wydawało się być działaniem złego ducha, w szerszej perspektywie, jaką obdarzeni są zmarli, postrzegane było jako akt kosmicznej sprawiedliwości...*

* Fragment książki *Greco i irracjonalność* Erica R. Doddsa, tłum. Jacek Partyka (wyd. Homini, Bydgoszcz 2002, s. 44–45) (przyp. red.).

Książka wypadła jej z rąk, oczy same się zamknęły i Juliet spacerowała teraz z jakimiś dziećmi (uczniami?) po powierzchni jeziora. Wszędzie, gdzie któreś z nich stanęło, pojawiała się pięcioboczne pęknięcie, wszystkie bardzo symetryczne, tak że lód wyglądał jak podłoga z kafelków. Dzieci pytały ją o nazwę tych lodowych kafelków i Juliet z przekonaniem odpowiadała – „pentametrami jambicznymi”. Ale one się z tego śmiały i od tego śmiechu pęknięcia w lodzie stale się powiększały. Wtedy Juliet zrozumiała swój błąd i pojęła, że tylko właściwe słowo może uratować sytuację, ale nie mogła go sobie przypomnieć.

Obudziła się i zobaczyła tego samego człowieka, mężczyznę, którego wypytywała między wagonami, siedzącego naprzeciwko.

– Spała pani. – Uśmiechnął się lekko z tego, co sam powiedział. – Najwyraźniej.

Spała z głową zwisającą w dół, jak stara kobieta, i w kąciku jej ust zebrała się strużka śliny. Poza tym wiedziała, że musi natychmiast pójść do toalety, i miała nadzieję, że na spódnicy nie zrobiła się plama.

– Przepraszam – powiedziała (tak jak on przedtem do niej), wzięła torbę i odeszła, starając się za wszelką cenę nie spieszyć.

Kiedy wróciła, umyta, ogarnięta i umocniona wewnątrz, mężczyzna nadal tam siedział.

Od razu oznajmił, że chce ją przeprosić.

– Mam wrażenie, że byłem niegrzeczny. Gdy spytała pani...

– Tak.

– Zgadza się. Pani opis się zgadza.

Z jego strony zabrzmiało to nie tyle jak zadośćuczynienie, co jak bezpośrednia i konieczna transakcja. Gdyby Juliet w ogóle się nie odezwała, mógłby wstać i pójść sobie, nieszczególnie rozczarowany, zrobiwszy to, po co przyszedł.

Oczy Juliet, ku jej wstydnemu, napełniły się łzami. Stało się to tak nieoczekiwane, że nie zdążyła się odwrócić.

– W porządku – powiedział. – W porządku.

Szybko pokiwała głową, kilka razy, żałośnie pociągnęła nosem i wydmuchała go w chusteczkę, którą w końcu znalazła w torbie.

– Już dobrze – stwierdziła, a potem opowiedziała mu po prostu, co się stało. Jak tamten mężczyzna pochylił się i spytał, czy miejsce jest wolne, jak usiadł, jak ona wyglądała przez okno, a potem już dłużej nie mogła tego robić i próbowała czytać książkę, czy też udawała, że czyta, jak spytał, gdzie wsiadła do pociągu, i dowiedział się, gdzie mieszka, i usiłował cały czas wciągnąć ją do rozmowy, aż wreszcie wstała i wyszła.

Jedyną rzeczą, której nie powtórzyła, był zwrot „zakolegować się”. Miała wrażenie, że jeśli go wypowie, znowu się rozpłacze.

– Ludzie zaczepiają kobiety – powiedział. – Częściej niż mężczyzn.

– Tak, to prawda.

– Uważają, że kobiety powinny być miłsze.

– Ale on tylko chciał z kimś porozmawiać – powiedziała, zmieniając trochę punkt widzenia. – Potrzebował kogoś bar-

dziej niż ja nie potrzebowałam. Tak to teraz widzę. Nie jestem złą osobą. Ani okrutną. A tak się zachowałam.

Pauza, podczas której ponownie opanowała pociąganie nosem i cieknące łzy.

– Nigdy wcześniej nie chciała pani zrobić czegoś takiego?

– Tak. Ale nie robiłam. Nigdy się tak daleko nie posunęłam. Dlaczego tym razem... Dlatego, że był taki pokorny. I miał na sobie całkiem nowe ubranie, które zapewne kupił na wyjazd. Pewnie miał depresję i pomyślał, że wyjedzie i że to dobry sposób, aby kogoś poznać, z kimś się zaprzyjaźnić. Może gdyby jechał niedaleko... – dodała. – Ale powiedział, że jedzie do Vancouver, i byłabym na niego skazana przez wiele dni.

– Tak.

– Naprawdę.

– Tak.

– No, właśnie.

– Pech – powiedział z lekkim uśmiechem. – Pierwszy raz zdobyła się pani, żeby się komuś postawić, a on rzucił się pod pociąg.

– Może to była kropla, która przelała czarę – rzekła Juliet obronnym tonem. – Przecież mogło tak być.

– Na przyszłość musi pani uważać.

Juliet uniosła brodę i spojrzała na niego uważnie.

– Uważa pan, że przesadzam.

Potem stało się coś równie nagłego i mimowolnego jak łzy. Usta Juliet zadrgały. Wzbierał w niej szelmowski śmiech.

– Chyba faktycznie przesadziłam.

– Trochę.